

Plotka o tym, że The Rolling Stones wystąpią w Warszawie z okazji 25-lecia czerwcowych wyborów z 1989 roku, przetoczyła się przez krajowe media po artykule Jacka Cieślaka z „Rzeczpospolitej”. Informację powtórzyły niemal wszystkie ważniejsze redakcje, choć, oględnie mówiąc, tekst „Stonesi na rocznicę?” nie jest naszpikowany konkretami.

Z jedynej cytowanej w artykule wypowiedzi przedstawicielki Kancelarii Prezydenta – organizatora rzekomego koncertu – wynikało zaledwie, że rozważany jest pomysł zorganizowania dużej uroczystości, być może muzycznej i że „brane są pod uwagę jej różne warianty”. „Rzeczpospolita” nie sprecyzowała, od kogo pochodzi informacja, jakoby gwiazdą na owej imprezie miał być właśnie brytyjski zespół ani skąd

Przy okazji niedawnej medialnej awantury z The Rolling Stones w tle warto przypomnieć, jak 13 kwietnia 1967 roku legenda rock’n’rolla zapisała się trwale w polskiej historii.

Bartosz Szurik



Jedna z najpopularniejszych grup lat 60. i... czterech kolejnych dekad.

The Rolling Stones

a sprawa polska



Dziś Stonesi to raczej eleganccy panowie niż buntownicy.

wie, że odbyły się już rozmowy z przedstawicielami Stonesów o wysokości honorarium.

Wiarygodna czy nie, informacja o kolejnej wizycie legendy rock’n’rolla w Polsce wzbudziła duże zainteresowanie. Trudno się dziwić – grupa ma w kraju rzeszę fanów.

Okazało się jednak, że nie wszyscy przywitani pomysł z entuzjazmem.

Polscy artyści nie chcą Stonesów?

Nie mniejszym echem niż informacja o rzekomym koncercie odbiła się w me-

diach wiadomość o protestach środowiska muzycznego. Seria artykułów i materiałów telewizyjnych o znaczących tytułach, będących wariacjami zdania: „Polscy artyści nie chcą Stonesów”, wywołała burzliwą dyskusję. O co chodziło?

Otóż świeżo powstały Związek Zawodowy Muzyków RP wystosował do prezydenta Bronisława Komorowskiego pismo, w którym sprzeciwił się tej imprezie.

W utrzymanym w ostrym tonie liście nazwano potencjalny koncert największej rockowej grupy świata „inicjatywą »kulturalną«” (ze znaczącym cudzysłowem) oraz „kosztownymi igrzyskami z importowanym podmiotem wykonawczym” (sic!). ZZMRP powołał się przy tym na skandal związany z niedawnym dofinansowaniem przez Ministerstwo Sportu koncertu Madonny (według NIK przyniosło to stratę 4,6 mln zł). Afera obnażyła nie tylko brak umiejętności w dotowaniu kultury z budżetu, ale też brak rozsądnej strategii działań w tym zakresie. Niestety, większość mediów, zamiast podjąć ten wątek, skupiła się na przedstawieniu muzyków popierających protest jako takich, którzy sami najchętniej wyciągnęliby rękę po państwowe pieniądze.

Koncert, którego nie będzie

Trudno powiedzieć, że list do prezydenta odniósł skutek, bowiem od samego początku dyskusja dotyczyła „faktu medialnego”. Szybko ustalono, że The Rolling Stones mają już wypełniony kalendarz koncertów i że 4 czerwca nie będą mogli wystąpić w Polsce – nawet jeśli taką opcję rzeczywiście wcześniej rozważano.

Natomiast polemicznej odpowiedzi wymaga fragment oświadczenia ZZMRP, w którym jest mowa o braku jakiegokolwiek związku między brytyjskim zespołem a naszą historią. Nie jest bowiem tak, że występ Jaggera i spółki z okazji polskiego święta byłby nieuzasadnionym pomysłem.

Po pierwsze, innych wykonawców tej klasy co The Rolling Stones... nie ma. Za sprawą trwającej pół wieku kariery i niezliczonych hitów, w muzyce rozrywkowej uznawani są za prawdziwych gigantów – czy to się komuś

tyjskiej elity towarzyskiej, współgra z historią polskich opozycjonistów. Prześladowani i represjonowani przez władze PRL-u, dziś stanowią lwią część polskiej klasy politycznej i pełnią najważniejsze funkcje w kraju.

Po trzecie – i najistotniejsze – The Rolling Stones w historii polskiej kultury popularnej zapewnili sobie poczesne miejsce za sprawą koncertu, który zagrali w Warszawie w 1967 roku. Bez dwóch zdań, byli największą zachodnią gwiazdą pop, która przyjechała wówczas do kraju za żelazną kurtyną. Nie byli pierwszym zespołem z „wielkiego świata”, który wystąpił w Polsce, ani tym bardziej pierwszym, który odwiedził jeden z krajów bloku wschodniego (na taką informację można się natknąć tu i ówdzie). Oczywiście, takie wydarzenia należały do rzadkości, ale przed Jaggerem i spółką w Polsce zagrali m.in. Cliff Richard & The Shadows czy The Animals (w 1965 roku). A jednak to wizyta Stonesów obrosła legendą.

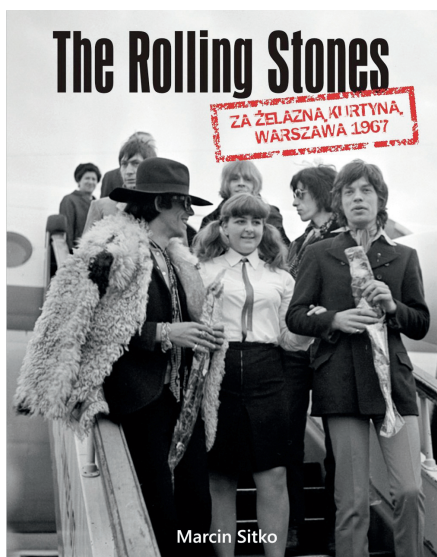
‘67” (oba tytuły ukazały się nakładem wydawnictwa c2). Jak wspomina we wstępie do drugiej z nich Piotr Metz: „Przez kolejne lata koncert w Kongresowej powoli tworzył w mojej muzycznej świadomości minilegendę: z fragmentów rozmów, wspomnień, zrozumienia faktu, „kiedy” przyjechali. Z czasem coraz wyraźniej składało się to w całość nowego kalendarza. Nowej ery. Roku zero-wego. Wszystko dzieliło się na przed i po”.

Co się takiego stało w trakcie dwóch koncertów w Sali Kongresowej, że wydarzenie to nabrało tak niezwyklej rangi? Jak to możliwe, że do tej imprezy w ogóle doszło?

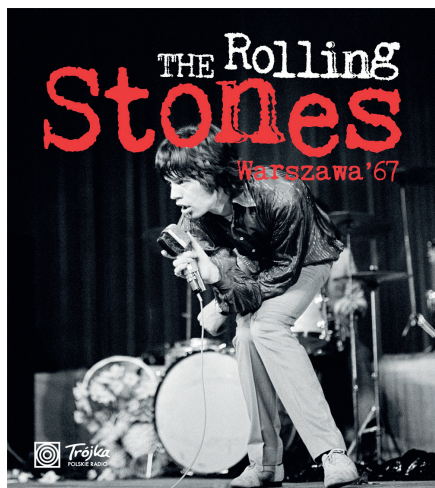
Te kwestie są przedmiotem spekulacji obu książek. Najróżniejsze odpowiedzi, często wzajemnie się wykluczające, tworzą mozaikę tak barwną i bogatą, że chyba ciekawszą niż jakiegokolwiek jedno wytłumaczenie, „jak to było naprawdę”. To, jak bardzo ewoluowały niektóre historie, jak bardzo różnią się relacje świadków, tylko dowodzi mocy tamtych wydarzeń.

Plotki i fakty

Przywoływana jest np. pogłoska, jakoby kluczową dla organizacji imprezy była sugestia wnuczki I Sekretarza PZPR, Władysława Gomułki, która miała poprosić dziadka o sprowadzenie do kraju swoich ulubionych artystów. Ten wariant odpowiedzi na pytanie, kto pozwolił zorganizować koncert „dekadenckiej grupy z Zachodu”, nie cieszy się jednak dużą wiarygodnością. Chociaż wydaje się, że w hipotezie „rodzinnej” jest coś na rzeczy. Dariusz Michalski utrzymuje, że o zorganizowanie koncertu poprosiła nie wnuczka towarzysza sekretarza, a córki ówczesnego ministra kultury – Lucjana Motyki. Zupełnie inny powód wskazuje muzyk Czerwono-Czarnych i Trubadurów, Ryszard Poznakowski. Jego zdaniem The Rolling



oraz „The Rolling Stones Warszawa ‘67” Jacobsona – dwie wybrane publikacje, dokumentujące koncerty Stonesów z kwietnia 1967.



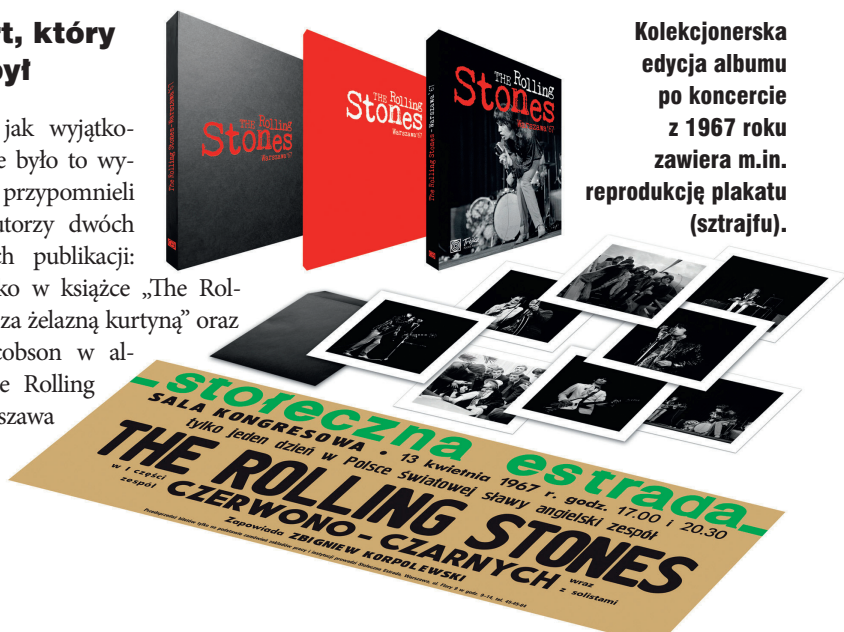
„The Rolling Stones za żelazną kurtyną” Sitki

podoba, czy nie. Ich koncert byłby murowanym sukcesem. Bez problemu zgromadziły publiczność liczoną w dziesiątkach tysięcy i z pewnością przyczyniły się do przypomnienia światu o doniosłości polskich zdarzeń sprzed ćwierćwiecza.

Po drugie, niegdysiejsi skandaliści, uosabiający bunt i pogardę dla establishmentu, to dziś szacowni panowie, mający status najważniejszych ludzi show-biznesu. Ich książkowe biografie czytają miliony. Jagger został uhonorowany tytułem szlacheckim. Charlie Watts jest w Polsce kojarzony jako elegancki hodowca koni, a Keith Richards nie tylko wystąpił w filmowym hicie studia Disneya, ale też napisał książkę dla dzieci. Podniesienie statusu Stonesów, którzy z wrogów publicznych i skandalistów stali się członkami bry-

Koncert, który się odbył

O tym, jak wyjątkowe i istotne było to wydarzenie, przypomnieli ostatnio autorzy dwóch znakomych publikacji: Marcin Sitko w książce „The Rolling Stones za żelazną kurtyną” oraz Marcin Jacobson w albumie „The Rolling Stones Warszawa



Kolekcyjna edycja albumu po koncercie z 1967 roku zawiera m.in. reprodukcję plakatu (sztrafju).

Stones pierwotnie mieli zagrać w Moskwie, ale ktoś z decydentów z ZSRR zorientował się, że nie można takiej akcji zaplanować bez próby generalnej. Zamiast w Rosji, „testowy” występ odbył się więc w Warszawie. Jeśli tak było w istocie... to „egzamin” został obłany, bo koncert kwintetu nie tylko nie otworzył zachodniej muzyce drogi do serca ZSRR, ale też przystopował jej rozwój w Polsce. Gdy władze zobaczyły „te tłumy, te reakcje, te róż-



Kadry z Polskiej Kroniki Filmowej.

jać bariery między Wschodem i Zachodem” (cytat za „Satysfakcją” Daniela Wyszogrodzkiego).

Co się zdarzyło 13 czerwca 1967?

Pomijając względy altruistyczne, dla Brytyjczyków koncert w Polsce był szansą otwarcia furtki do potencjalnych koncertów w ZSRR – i próbą dotarcia do tamtego rynku. Był też dobrą okazją do zmiany środowiska po skandalach narkotykowych, które wybuchły wokół Stonesów w USA i Wielkiej Brytanii. W końcu zaś – podróż za żelazną kurtynę trąciła egzotyką. Pobyt w Polsce ewidentnie zapadł muzykom w pamięć. O swojej wyprawie opowiadali jeszcze przez lata, bez żenady koloryzując relacje. Mocno naciągana jest choćby opowieść Keitha Richardsa, według której gitarzysta wyrzucił z Sali Kongresowej elitę PRL-u: „Warszawa w '67 roku najbardziej przypominała to, co widziałem w czasie zamieszek w Long

pieprzać stąd – puścić ludzi z tyłu pod scenę”. I tak się stało. Mniej więcej cztery pierwsze rzędy wyszły. Wszystkie maminsynki. Na zewnątrz mieli armatki wodne. Policja miała białe kaski i długie pałki. Czekają tam ze dwa tysiące dzieciaków, które nie mogły się dostać na koncert z powodu synalków i córrek władz. Nie doszłoby do zamieszek, gdyby wpuścili tę młodzież do środka”.

Cóż, uczciwie trzeba powiedzieć, że nie tylko muzyków ponosiła fantazja w opisach tamtych koncertów. Dlatego tak trudno dotrzeć do faktów. Na pewno doszło do przepychanek z milicją pod Salą Kongresową – w socjalistycznej nowomowie rozpisywały się o tym gazety; potwierdzali świadkowie. Ale co ponadto wydarzyło się na tych dwóch koncertach (o 17.00 i 20.30) 13 kwietnia i w czasie pobytu Brytyjczyków w Warszawie? Tu już jest cała masa opowieści mniej lub bardziej wiarygodnych. Jedyne, co można zrobić, to poumieszczać je na skali prawdopodobieństwa.



nice w percepcji wywołane oddziaływaniem sceny – mówi Poznakowski – to doszły do wniosku, że chyba jednak jeszcze za wcześnie na takie brewerie”.

Według samych muzyków, koncert nie był sprawą polityczną, a ich własną inicjatywą: „To był nasz pomysł, nie wyszedł od organizatora – zanotował w dzienniku Bill Wyman. – Pieniądze z tego były żadne – nasze honorarium graniczyło z jałmużną. Ale słyszeliśmy, że młodzież we wschodnim bloku zdobywa nasze płyty na czarnym rynku i słucha nas w radio. Na długo, zanim głośność stała się modnym słowem, byliśmy skłonni rozbi-

Beach. Przyjechaliśmy za żelazną kurtynę, by zrobić wszystko, jak należy; wszyscy podenerwowani. Na lotnisku czekało wojsko. Dotarliśmy do hotelu, który wyglądał jak więzienie. Wszędzie obstawa. (...) Zostaliśmy zaproszeni przez Ministerstwo Kultury na kulturalną wizytę i graliśmy w Pałacu Kultury. Zaczynamy nasz koncert. (...) A kto siedzi na najlepszych miejscach naprzeciwko sceny? Synowie i córki władz partii komunistycznej. Siedzą tam wystrojony w brylanty i perły... i zatykają sobie uszy palcami. Po trzech numerach mówię: «Kurwa, Charlie, przestań grać. A wy z przodu, wy-

Czy Brian Jones spalił swoje elektryczne organy i zespół pożyczał sprzęt od grających jako suport Czerwono-Czarnych, ale dopiero po tym, gdy o pożyczkę osobiście poprosił Jagger? To się wydarzyło z dużą dozą prawdopodobieństwa. Czy Mick zjadł kwiaty rzucone na scenę przez jedną z podniekscytowanych fanek? Prawda. Czy prasa zgodnie rozpisywała się nad fantastycznym wyglądem i strojami Stonesów? Prawda! Czy ktoś ukradł mikrofon i nie było jak dokończyć bisów? Raczej nieprawda. Czy na sali w czasie koncertu znajdowała się milicja z psami i żołnierze z karabinami, a tajniacy

co i rusz uspokajali co bardziej rozszalałych uczestników koncertu? Zdania są podzielone. Czy koncert był genialny? Czy był popisem profesjonalizmu angielskich muzyków? Fuzzerką? Czy nic nie było słyhać? Czy gitary nie stroiły? Każda z tych opinii pojawia się w relacjach świadków. Czy Stonesi rozdawali swoje płyty na ulicy? Trudno stwierdzić. Czy za zarobione na graniu złotówki, których nie mogli wywieźć z kraju, kupili wagon wódki? To raczej na pewno plotka.

Tylko rock'n'roll?

Czy w tych wszystkich wydarzeniach da się znaleźć powód, dla którego te koncerty stały się tak ważne dla tak wielu ludzi? Chyba najlepiej podsumowuje to Marek Proniewicz, wspominając na kartach „The Rolling Stones Warszawa '67”: „Najbardziej utkwiała mi w pamięci ta ekstaza. Ludzie jakoś się tak, po raz pierwszy, zintegrowali. Tego wcześniej nie było. Nagle wszyscy zaczęliśmy zachowywać się tak, jak nam się wydawało, że trzeba się zachowywać na koncertach. Na filmach o Beatlesach, z kronik filmowych z Presleyem, widzieliśmy, że te dziewczyny płaczą, a chłopcy tańczą w amoku, ale dotychczas byliśmy jakoś sparaliżowani i dopiero Stonesi nas z tego wyzwolili. Nagle uznaliśmy, iż można być luzakiem, że można zachowywać się inaczej, po prostu bawić się na całego”.

Powiew wolności? Zachodu? Spontaniczności? Żywiołowości? Poczucie wspólnoty? Cokolwiek to było, zadziało naprawdę.

PS. W Święta Wielkanocne zagadnąłem wujka (rocznik 1953) o jego wspomnienia z pamiętnego koncertu Stonesów. Opowiedział o przedzieraniu się przez kordony milicji pod Pałacem Kultury, o strachu, że ktoś ukradnie bilet. O tym, jak w czasie zamieszek młodzież obrzucała milicjantów modnym wówczas gadżetem – kieszonkowymi lusterkami. Wspomnił też sam koncert: publiczność jak szalona wymachiwała nad głowami marynarkami. On nie miał marynarki, tylko najlepszy, założony specjalnie na tę okazję sweter, przysłany w paczce z USA. Wymachiwał nim z nie mniejszym zapalem. Niestety, w połowie koncertu spostrzegł, że w tajemniczych okolicznościach, kręcąc młynki, niechcący „wymienił” się z kimś odzieżą. Amerykański puloverek przepadł, a wujek został z krajową i zupełnie przeciętną marynarką w dłoni. To był świetny koncert, ale sweterka nie może odzalać.

Takie drobiazgi, anegdoty, tworzą legendy. Łączą teraźniejszość z przeszłością i powodują, że na hasło: „The Rolling Stones w Polsce” ludziom wciąż szybciej biją serca.



Katarzyna Budnik-Gałązka Viola Recital

Krzysztof Meisinger (gitara)

Dux 2013

Interpretacja: ●●●●●

Realizacja: ●●●●●

Wielu altowiolistów to niespełnieni skrzypkowie, którzy słabiej niż koledzy wypadali na egzaminach i zostali przez profesorów przymuszeni do zmiany instrumentu na większy. Potem często padają ofiarą złośliwych dowcipów kolegów, a i sami podświadomie nie lubią altówki.

Katarzyna Budnik-Gałązka nie stała przed koniecznością wyboru. Ukończyła studia skrzypcowe, a równocześnie zrobiła dyplom altowiolistki. W jej grze na altówce słyhać, że wzorcem biegłości technicznej jest dla niej warsztat skrzypcowy, natomiast altówka pozwala na wydobycie takich brzmień, które na skrzypcach są nieosiągalne. Idealne połączenie i artystka potrafi znaleźć repertuar, w którym może pokazać pełnię możliwości.

Na debiut płytowy wybrała utwory Regera, Chaczaturiana, Pendereckiego, Rhode'a oraz Paganiniego i w takiej właśnie kolejności zestawiała z nich program. Trzy suity Regera to fundament; ukłon kompozytora w stronę barokowej stylistyki i formy, a dla Budnik-Gałązki – okazja do pokazania wrażliwości na barwę dźwięku, zdolności kształtowania miękkiej kantylenowej frazy i perfekcyjnego wykorzystywania magii „wbrzmiewającej pauzy” jako środka wyrazu. W sonacie-pieśni Chaczaturiana i „Cadenzy” Pendereckiego solistka porывa słuchacza narracją, natomiast w kapryśkach Rhode'a i Paganiniego oraz w sonacie Paganiniego zachwyca wirtuozerią i prowadzeniem dialogu z gitarowym akompaniamentem (brawurowy Meisinger).

Ta płyta dostała Fryderyka w kategorii „album roku 2013 – recital solowy”. Brawa za werdykt! ■

Hanna i Andrzej Milewscy



Marian Borkowski Choral Works

Polski Chór Kameralny/Jan Łukaszeński

Dux 2013

Interpretacja: ●●●●●

Realizacja: ●●●●●

Marian Borkowski (ur. 1934), który jako profesor wychował już kilka pokoleń kompozytorów, nie tylko polskich; który jest animatorem życia muzycznego i, last but not least, aktywnym twórcą, nie może się poszczycić bogatym dorobkiem fonograficznym. Tym bardziej cieszy ukazanie się kompaktu z kompletem jego dzieł na chór mieszany a cappella – prawie godzina świetnej muzyki w wykonaniu renomowanego Polskiego Chóru Kameralnego Schola Cantorum Gedanensis.

Na płycie znalazły się utwory z lat 1970-2012, o różnej genezie i charakterze – koledy, kompozycje sakralne i kołysanki. Mają dwie cechy wspólne: ascezę werbalną i przejrzystość struktury wokalne. Borkowskiego cechuje chwalebna alergologia na wielosłowie. Potrafi się obyć bez komponenty językowej; pisze wokalizy, nakazuje śpiew *bocca chiusa*.

Urokliwy efekt sonorystyczny (i pożądana: usypiający) dało to zwłaszcza w dwóch kołysankach – wszak kołysanka ma wygasić umysł, a nie bodźcować do analizy tekstu. Jeśli Borkowski sięga po słowa, wystarcza mu choćby jedno („Gloria”) lub kilka (w „Pater noster”); czterowiersz Baczyńskiego (w „Mater mea”). Tylko koledy mają rozbudowaną warstwę tekstową.

Sens buduje tu warstwa brzmieniowa (wyborna realizacja nagrania) – a Borkowski okazuje się czarodziejem klimatu. Niektóre z utworów wydają się idealne do wykorzystania jako muzyka filmowa, a przy „Kołysance I” blednie „Moon River” Manciniego.

Ta płyta otrzymała nagrodę Fryderyka 2013 w kategorii „najwybitniejsze nagranie muzyki polskiej”. Bezdyskusyjnie. ■

Hanna i Andrzej Milewscy